

Krasnoludki nie usprawniają kooperacji

W PRZEMYŚLE — PO TRZECH KWARTAŁACH

Niesprawna kooperacja znowu zaczyna zakłócać rytmiczną pracę fabryk. Po okresowej poprawie w latach 1967-1968 (wynik realizacji uchwały VII Plenum KC PZPR), w bieżącym roku ponownie odczuwa się pogorszenie terminowości dostaw materiałów, podzespołów i części do produkcji. Skutki tego są zdecydowanie niekorzystne.

Niezawiniona niesolidność

Weźmy dla przykładu wrzesiński „Tonsil”. Jest on głównym krajowym producentem głośników, mikrofonów oraz mikrośrodków do napędu szeregu aparatów elektrycznych powszechnego użytku. Załoga „Tonsilu”, mimo dużego wysiłku, raz po raz nie wykonuje miesięcznych planów. W czerwcu wykonała swe zadania tylko w 91,6 procentach, w lipcu — zaledwie w 90,7, a w sierpniu — w 92,1 procentach. Przyczyn jest kilka, lecz podstawową z nich jest niesprawna kooperacja: nieterminowe i niepełne dostawy magnesów tzw. koszy głośnikowych i innych detali. Na domiar tego sporo nadwyżek części nie odpowiada wymaganiom normom jakościowym i trzeba je odrzucać jako braki.

A skutki? „Tonsil” jest z kolei głównym kooperantem wszystkich krajowych fabryk odbiorników radiowych i telewizyjnych, magnetofonów, suszarek do włosów itp. Jeśli on nie wykonuje planów, to automatycznie sprawia kłopoty w realizowaniu planów tamtych fabrykom.

Załoga „Tonsilu” jest tą sytuacją rozgoryczona. Zła sława niesolidnego kontrahenta niesie się przecież po kraju, a nie każdy wnika w przyczyny tej niesolidności. Do tego słono ją ta sława kosztuje. Nieterminowe i zle jakościowo dostawy materiałów uniemożliwiają rytmiczną pracę i racjonalną gospodarkę; powodują nerwowość, postoję i zrywy w produkcji i — co za tym idzie — pogorszenie wskaźników ekonomicznych. Wszystko to odbija się także na wysokości funduszu zakładowego.

Kosztowne łatanie niedoborów

Inny zakład: Fabryka Maszyn i Urządzeń Przemysłu Spożywczego we Wronkach, wytwarzająca między innymi wytwórnie mączki rybnej dla statków morskich. Fabryka nie wykonała planu w I półroczu, nie wykonała go także w lipcu i sierpniu. Przyczyny te same, co w przypadku „Tonsilu”. Na przykład, w lipcu nie otrzymała ona od swoich dostawców niezbędnych do zrealizowania planu odlewów i noży do rozdrabniaczy, a w sierpniu: odlewów, sit i zespołów hydraulicznych. Załoga, gdyby mogła, robiłaby wszystkie te elementy sama. Niestety, fabryka nie ma ku temu warunków.

Albo Kolejowe Zakłady Nawierzchniowe w Skalmierzycach, decydujące o tempie remontowania i modernizowania torów kolejowych, których stan nie jest dobry. Zakłady należą do lepszych tego typu w resorcie komunikacji. Mają zgraną załogę, dbającą o dobre imię przedsiębiorstwa. Można sobie wyobrazić samopoczucie tych ludzi, gdy z miesiąca na miesiąc — nie ze swej winy — nie wykonują planów produkcji. Za 7 miesięcy — br. wykonali je tylko w 96 procentach, a w lipcu zaległości powiększyły się. W sierpniu wykonano plan zaledwie w 94,6 procentach. Przyczyny: przede wszystkim nieterminowość dostawy materiałów.

Podobne zjawiska w jednej fabryce występują jaskrawo, a w innej — łagodniej. Wszystko zależy od rodzaju niedostarczanych w porę detali posiadanych zapasów oraz możliwości ich odtworzenia (nieraz bez względu na koszty), na miejscu w zakładach. Najczęściej dorabia się brakujące części normalne: śruby, nitki, wkręty, wałki, tryby itp. Rzeczywisty koszt takiego doraźnego dorabiania brakujących elementów, jest z reguły kilkakrotnie wyższy od ceny ich zakupu w fabrykach wyspecjalizowanych.

Gdyby nie te doraźne sposoby łatania dziur w zaopatrzeniu, to liczba zakładów nie wykonujących swych zadań byłaby znacznie większa. Lecz i tak jest spora. Na 220 kluczowych fabryk Wielkopolski objętych planem centralnym — 28 nie wykonało pla-

nu I półroczu, 53 planu lipcowego i 58 sierpniowego. We wrześniu nie wiele się w tej dziedzinie zmieniło.

Skąd się biorą kooperacyjne zgrzyty

Jeśli tak jest w przemyśle kluczowym, bądź co bądź nieźle już zorganizowanym i korzystającym z priorytetu w zaopatrzeniu, to można sobie wyobrazić sytuację w przemyśle drobniejszym. Pisaliśmy niedawno o kłopotach zaopatrzeniowych w zakładach spółdzielczych, szczególnie — wytwarzających towary rynkowe oraz świadczących usługi. W niektórych branżach — np. w remontowo — budowlanej — sytuacja jest krytyczna.

A przecież tak być nie powinno. Przecież w ostatecznych rozrachunkach rocznych, niemal zawsze okazuje się, że przemysł potrzebne materiały zdobywa i wykonuje swe globalne plany z nadwyżką. Skąd więc biorą się owe zgrzyty w kooperacyjnym mechanizmie na co dzień?

Gdy się słucha wynurzeń aktywnie społeczno — gospodarczego fabryk czasami trudno się oprzeć wrażeniu iż kooperację przemysłową rządzą jakieś pozaziemskie siły. Tyle w niej niezrozumiałych zjawisk i zdarzeń. Lecz przecież w istnieniu krasnoludków nikt nie wierzy. A więc?

Wszystko zależy od ludzi

Wszystko zależy od ludzi. To człowiek tworzy prawa i systemy organizacyjne i człowiek jest władny je zmieniać. Dowodem tego niech będzie choćby ten stwierdzony fakt, że gdy w 1966 roku VII Plenum KC PZPR jak to się mówi — postawiło na ostrzu noża problemy kooperacji, organizacji i rytmiczności produkcji, to natychmiast sytuacja uległa poprawie. Gdy natomiast zwrócono później uwagę w innym kierunku, wiele wróciło do dawnej „normy”.

Warto wydobyć z głębi szuflad zapomniane dokumenty VII Plenum i twarde żądać od administracji gospodarczej, aby się do owych dyrektyw stosowała. Pozwoli to rozwiązać rodzącą się tu i ówdzie niewiarę w możliwość dokonania trwałych zmian na lepsze w organizacji naszego przemysłu.

Przepraszam, czy można...

Pałło wtedy słońce, kto mógł — podał na plażę. Swinoujska poczta, zatłoczona zazwyczaj, tego przedpołudnia świeciła pustkami. Przed cieniem wypłat PKO stało zaledwie parę osób. Obok mnie — on, uczeń jednego ze śląskich liceów. Wynikało to z legitymacji, którą trzymał dość ostatecznie. Po włosach trudno byłoby się tego domyśleć, albowiem nasuwały skojarzenia nie ze szkolną głową lecz z Robin Hoodem. Młodzień rozmarzył z kolegą, ściślej — zwierzał się: — Leci ten pieniądz. Drugi tydzień nad oceanem, dwa patyki od starego utopione, jeden patyk mój, też już krótki...

Scenka — jak to w życiu, rozmowa — jedna z wielu, catość — raczej banalna. I może właśnie dlatego nasuwająca refleksje. Przepraszam, że ja znowu w ogranej sprawie. Chodzi mi o to, co zwykło się lapidarnie określać — rozpuszczaniem dzieci.

W pewnej szkole średniej Poznania dyrektor niedawno napominał rodziców, by dźwiatwa raczej nie przybywała na lekcje strojna na złote zegarki i biżuterię. — Chyba poniżej trzeciej klasy pierścionki zaręczynowe w grę nie wchodzi — usiłował żartować dyrektor, choć sprawa zbyt do śmiechu nie nastrajała.

Po okresie tegorocznych matur mówiło się sporo w Poznaniu (oczywiście, nie tylko tu) o samochodach, sprawionych świeżo upieczonym abiturientom (tkom) przez uszczęśliwionych rodziców i podjęcie za heroiczny wysiłek młodych. Nie wiem, ile i jakich aut wchodziło w grę. Fakt pozostaje faktem, że mamu do czynienia ze swoistą metodą wychowawczą; zaczyna się od zegarka za promocję (tu kłania się „Jubiler” ze swymi ogłoszeniami) potem wypada dziecięciu zaufanemu adapter, następnie — tranzystor, kolejnego roku — rower, później — motorower lub może magnetofon, wreszcie — samochód.

Naturalnie, taka gradacja nie jest realizowana powszechnie. Złazszcza jej końcowy etap pozostaje jeszcze czymś z pogranicza wyjątku. Ale reszta elementów „drabiny nagradzania” — z pewnymi odmiannymi —

**Głos
Tygodnia**

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 415 12 X 1969 Rok IX

Obserwowana ostatnio w całym świecie ekspansja chemii w życie codzienne człowieka zaczyna zagrażać poważnymi konsekwencjami. Nieuchronny „produkt uboczny” jej burzliwego rozwoju — to mnożące się przypadki zatrucia, z którymi medycyna nie w pełni jeszcze może się uporać. Niekiedy z powodu braku rozeznania w rodzaju zatrucia, innym razem na skutek diagnozy zbyt opóźnionej przewlekłymi badaniami.

Dla potrzeb przemysłu i na tzw. codzienny użytek pracują bowiem setki zakładów, instytutów i laboratoriów chemicznych, których celem jest dostarczanie coraz to nowych produktów na chłonny rynek. Natomiast placówki toksykologiczne jak laboratoria kontrolne i zakłady naukowe, powołane do tego by oceniać owe produkty pod względem ich ewentualnego zagrożenia dla zdrowia — powstają niewspółmiernie wolniej, jest ich bardzo mało, są niedostatecznie wyposażone. Dodajmy, że cykl badań toksykologicznych jest długi, ponieważ przy ich przeprowadzaniu niezbędna jest niejednokrotnie obserwacja 2 a nawet 3 pokoleń zwierząt.

Problemy toksykologii narastają więc w całym świecie, również w Polsce. Niestety, i u nas wspomnianych placówek nie mamy zbyt wiele; szczególnie zaś mało jest placówek typu naukowo-badawczego. Poznań jest jednym z tych sześciu ośrodków naukowych Polski, który posiada własną katedrę i Zakład Chemii Toksykologicznej AM. Jest przy tym ośrodkiem, który już może się poszczycić znacznymi osiągnięciami praktycznymi (zwłaszcza jeżeli chodzi o powiązania z przemysłem). Swą nowatorską działalność badawczą prowadzi on jednak w warunkach (przysłowiowej już w Poznaniu) ciasnoty lokalowej. Tu jednak daje się ona szczególnie we znaki, jako że trudno wyobrazić sobie tego typu badania, np. bez zwierząt! Toteż — póki co — kłatki z niektórymi zwierzętami umieszcza się w pokojach... asystentów, co oczywiście ani nie budzi wśród nich entuzjazmu, ani nie może być stanem traktowanym serio na dłuższą metę.

Rozmawiamy — m. in. i o tych sprawach — podczas wizyty w Zakładzie Chemii Toksykologicznej z

Wanda Chila

EPIDEMIA CHEMII

W pracowniach poznańskich naukowców

jego kierownikiem doc. dr. hab. Witoldem Seńczukiem. Zaczynamy od przypomnienia sobie najprostszych, najpowszechniejszych, choć często karygodnie niedopuszczalnych do świadomości, źródeł zatrucia; przechodzimy do najgroźniejszych, najspieszej wymagających interwencji, która zresztą nie jest łatwa. Dlatego poświęcić jej trzeba wiele pracy badawczej, co też Zakład czyni, zajmując się intensywnie tzw. toksykologią przemysłową.

Nie te wszakże — choć najgroźniejsze, kontakty są najbardziej ty

się przyczyną groźnych zatruc, które również się mnożą, a często są wynikiem bezmyślności pacjentów.

Nie mniej groźna jest dla nas cała „chemizacja życia codziennego”. Współczesny człowiek narażony jest na kontakt z około 250 000 związków chemicznych, które mogą być potencjalną przyczyną zatrucia (wyroby z plastiku, farby, lakiery, środki piorące itd.). Wreszcie żywność: nieprzestrzeganie (przy masowym i powszechnym używaniu środków chemicznych w rolnictwie) przepisu o określonym czasie, który musi oddzielać moment zbioru np. owoców od momentu ich spryskiwania, spowodować może ciężkie zatrucie. Warto i o tym przypomnieć, że 50—65% wód (rzeki, jeziora) jest stale lub okresowo zanieczyszczonych chemicznie do tego stopnia że na każdego mieszkańca dużego miasta przypada rocznie około 250 kg z 6,5 milionów ton emitowanego przez przemysł pyłu.

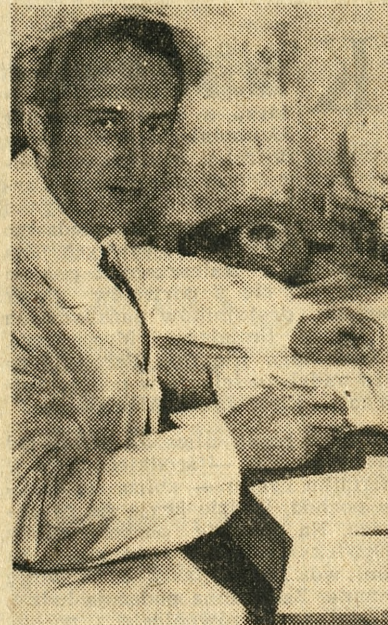
I wreszcie sprawa, którą najspieszej zająć się powinna nauka, łącznie z przemysłem, przy pomocy służby zdrowia: toksykologia przemysłowa. Dziedzina wiedzy raczkująca zaledwie, podejmowana w swym praktycznym aspekcie dość jeszcze nieporadnie przez medycynę pracy, wymagająca spieszych rozwiązań naukowych.

W Polsce około 1,5 miliona ludzi pracujących narażonych jest potencjalnie na zatrucie: stan alarmujący! Toksykologia przemysłowa bada środowisko pracy człowieka i surowce, przeznaczone do produkcji. Badania te mają znaczenie profilaktyczne — niestety, jeszcze na ogół mało stosowane praktycznie.

Obecnie głównym obiektem zainteresowania tej młodej gałęzi nauki jest człowiek, jako że ludzie pracujący w tych samych warunkach mogą być w różnym stopniu narażeni, z uwagi na intensywność pracy, różne drogi wchłaniania, cechy osobowe, indywidualne przestrzeganie zasad higieny itp. Bada się więc drogi wchłaniania trucizny jej przemiany w organizmie i drogi wydalania. Na tej podstawie można przewidzieć stopień narażenia na truciznę lub stopień zatrucia i wytypować sposób leczenia.

Taki kierunek mają badania podjęte przez Zakład Chemii Toksykologicznej w ramach długoletniej umowy, w Zakładach H. Cegielski. Naukowcy mają tu już pewne praktycz-

Dokończenie na str. 2



Doc. dr hab. Witold Seńczuk

Fot. — K. Przychodźki

pową przyczyną zatrucia we współczesnym, cywilizowanym świecie. Najczęstsze — jak mówi statystyka — są zatrucia lekami. Lekomania bowiem zaczyna być zjawiskiem na gminnym, zarówno z powodu zbyt małego uświadomienia społeczeństwa jak i zbyt niskiej dostępności leków. Ludzie nadużywają środków uspokajających, nasennych i przeciwbólowych. Typowe narkotyki schodzą na dalszy plan, zaś „karriere” robią np. zwykłe i niewinne z pozoru tabletki z krzyżykiem. Są pacjenci, którzy połkają ich kilka na czczo, by — jak twierdzą — stać się zdolnymi do pracy. Nawet aspiryna, nawet środki odchudzające, stosowane bez kontroli lekarza stają

ty o zabarwieniu, zależnie od sytuacji, niekoniecznie dodatnim.

Nie każda matka i nie każdego ojca zawrze stać na rzeczową ocenę, co jeszcze — jak się to określa — mogą, czy powinni dla dobra dzieci zrobić, a co — choć zyczliwie pomysłane — w gruncie rzeczy dobru młodych nie posłuży. Boć przecież spełnianie każdej z zachcianek córek i synów, grozi im właśnie w przyszłości żywymi rozczarowaniami, zgorzknieniem, zredukowaniem odporności psychicznej na przeciwności losu, bądź — że sięgnę do modnych określeń — frustracją i wyalienowaniem.

Chłopak — licealista, któremu „stary” dał dwa tysiące złotych i chyba umożliwił ułożenie trzeciego, by mógł zorganizować sobie wypoczynek, gdy trafi na pracowniczą staż za 1400, a może 1200 złotych, poczuje się skrzywdzony; uzna, że nie tego oczekiwał od losu; stwierdzi nagle, że właściwie — i będzie to prawda — żyło mu się lepiej w rodzicielskim domu. A to już pozycja startowa klasyczna do tego, by powiększył szeregi sfrustrowanych, o których trafnie i dowcipnie niedawno temu pisał Ryszard Groński:

„Zadnych zaangażowań!
Zadnych ideologii!
Grunt, byś usiadł wygodnie
I mógł wyciągnąć nogi,

Hippies znani są z fryzur
I dziwacznych garderób.
Łączy ich zawołanie:
SIEDZ I NIGDY NIC NIE RÓB”.

Kto pomaga — częstokroć nieświadomie — w rodzeniu się i upowszechnianiu takich postaw u młodzieży? Winni tu są niektórzy rodzice — bezkrytycznie uwielbiający swe dzieci, bezmyślnie spieszącą zaspokajając wszystkie ich pragnienia. Rodzice — egoiści, czerpiący radość z procedury obdarowywania, nie liczący się z późniejszymi skutkami swych postępków.

A cena tak pojmowanej — w istocie nie-dobrej — miłości rodzicielskiej jest duża. Przychodzi ją płacić samym młodym i — społeczeństwu.

Piotr Życki

Cena bezmyślności

go, że dzieci i dorastającą młodzież trzeba nagradzać, że — co więcej — owo nagradzanie jest, w poczuciu rozsądnych rodziców, nie tyle obowiązkiem ile czymś sprawiającym im radość. Należy najmłodszemu i dorastającemu pokoleniu pomagać, wiele rzeczy — ułatwiać, starać się też umilać dzieciom życie. Wszystkie to jest w codziennej koczystencji świata dorosłych i młodzieży nie tylko pożądane, lecz po prostu niezbędne.

Chodzi wszakże o zachowanie — jak zresztą w każdej dziedzinie ludzkiego działania — rozsądnego umiaru, o umiejętność widzenia rodzicielskich powinności i przywilejów potomstwa w jakiejś realistycznej skali. Nie można przy tym zapominać, że wszystkie te posunięcia — od sprezentowania promocyjnego zegarka, po zabiegi, mające ułatwić maturzystę dostanie się na studia — stanowią elementy procesu wychowawczego, elemen-



Rabunek dzwonów z kościoła w Śmigłowie.
Fot. — archiwum „Głosu”

EPIDEMIA CHEMII

Dokończenie ze str. 1

ne osiągnięcia i wyniki badań będzie można przenieść na teren innych zakładów. Podjęto już także podobne badania dla Poznańskich Zakładów Nawozów Fosforowych oraz Fabryki Maszyn Rolniczych w Rogoźnie. Kilka innych ofert, m. in. gorzowskiego „Stilonu” i Konina trzeba było odrzucić z powodu braku pomieszczeń na pracownię.

Na zakończenie dodajmy, że zakład ma przecież nie tylko naukowo-badawcze zadania lecz także dydaktyczne. Jego pilnym obowiązkiem jest intensywne szkolenie kadr analityków — toksykologów. Ma to swoje szczególne uzasadnienie wobec centralnego zarządzenia, które zobowiązuje około 2,5 tysiąca większych zakładów pracy w kraju do organizowania toksykologicznych laboratoriów przyzakładowych. Otwarto ich dotychczas tylko około 300 właśnie z braku fachowców.

A tymczasem rocznie zatrują się u nas około 36 tysięcy ludzi, wymagających leczenia szpitalnego! To więcej niż poważna epidemia.

WANDA CHILA

Jak mały Kazio...

Mówi się, i to jest prawda, że kształcenie kadr specjalistów oraz badania naukowe stanowią jeden z najistotniejszych czynników rozwoju ekonomicznego i kulturalnego kraju. W tej dziedzinie uczyniliśmy już sporo. Mamy bowiem w Polsce 403 inżynierów na 100 tys. mieszkańców, podczas gdy w USA jest ich tylko 228, a w NRF — 212. Zaś inżynierów-mechaników mamy więcej niż w NRF i tyle samo co Francja.

Niektórzy mówią, że inżynierów mamy za dużo. A jednak przecież wciąż ich brak. Na lata 1971-75 przewiduje się zapotrzebowanie w Polsce na 90 000 inżynierów, przy czym uczelnie zdołają je zaspokoić nie w pełni. Jednocześnie są zakłady, których kierownicy z całą odpowiedzialnością twierdzą, iż mogliby zwolnić np. trzecią część zatrudnionych tam inżynierów i powiedzieć przy tym, że nie byłoby to wcale eksperymentem lecz działaniem na pewniaka.

Jak to więc jest? Mamy za mało czy za dużo inżynierów? Zanim odpowiemy na to pytanie wysunięte w artykule dyskusyjnym Piotra Wierzbickiego w magazynie studenckim „itd” — posłużmy się przykładami felietonisty „Kultury” — KTT. Ów autor przytacza przykład konkursu na budowę dość skomplikowanego obiektu przemysłowego, w którym główną nagrodą była podróż, celem zwiedzania analogicznych obiektów zagranicznych.

„A więc projektant — pisze KTT — najpierw musiał narysować, jak sobie mały Kazio wyobraża ów obiekt, a potem, skoro wyobraził go sobie ładnie, w nagrodę pozwolono mu obejrzeć, jak to powinno wyglądać naprawdę”.

A oto drugi przykład z tego felietonu. Najciekawsze umyślił z różnych dziedzin mają się skupić nad problemem bezkolizyjnego rozwiązania skrzyżowania stołecznej ul. Marszałkowskiej z Al. Jerozolimskimi. Nikogo nie trzeba przekonywać, że takie skrzyżowanie jest nam jak najbardziej i najpilniej potrzebne.

Każą się zgłosić do Arbeitsamtu. Stoimy w długim szeregu w zimnym korytarzu w byłej Komendzie Uzupełnień. Wiele z nas wysyłają do robót rolnych w okolicy Wschowy. Nas zatrzymują. Czyścimy stajnie w pobliskim budynku gospodarczym. Stały tam niedawno konie z taborów wojskowych. Zza sterty słomy mieszananej z gnojem wynurzają się portrety głowy naszych dostojników państwowych — Rydza Śmigłego i Mościckiego. Piłsudskiego nie ma. Portret jego wisiał nadal na ścianie w pokoju Selkego — kierownika Arbeitsamtu.

Idę po pracy ulicą do domu. Od strony dworca — środkiem ulicy w kierunku rynku — zbliża się dziwny pochód. Ludzie kryją się po domach. Na przedzie pochodu młody człowiek niesie olbrzymi krzyż. Za nim wóz drabiniasty a na wozie trumna. Za trumną podążają ludzie, Chodnikami, równoległe z pochodem idzie kilku drabów. Buciorami kopią każdego napotkanego polskiego przechodnia. Aha! To jeszcze jeden z tych co zostali „zamordowani” przez polskich bandytów...

Jest! Hanz Bucholz. W mundurze SS z rewolwerem u pasa. Podchodzi do mnie. Trzask i leżą na chodniku. A, to ten dobry znajomy, co razem ze mną i moimi kolegami jeździł do pracy do Poznania. Jego ukochanym poetą polskim był Mickiewicz.

Halt! Policjant Chrzanowski. Niemiecka szkapo o polskim nazwisku. Zurück! Trzeba było zawrócić i

Przeglądamy Prasę

dłużając lub skracając, zgodnie z potrzebami, ich rozmiary. U nas budoje się z kolei sporo (ale chyba nie więcej niż w Kanadzie mostów) hoteli robotniczych, — typowych rozmiarami, dla 200 mieszkańców każdy. I też mamy dla takich budów projekty typowe, tyle tylko, że jest ich aż ponad 270. Nad wszystkimi intensywnie pracowali projektanci, ale pewnie duża część z nich nigdy nie doczeka się realizacji. Można by więc tu zapytać, czy mamy tak dużo projektantów, że mogą oni swój wysiłek poświęcać sprawom, które nigdy nie będą przydatne?

Wróćmy do inżynierów zatrudnionych w produkcji, do tych inżynierów, których — jak powiedziano — oficjalnie mamy za mało, a mniej oficjalnie — za dużo. Piotr Wierzbicki w cytowanym tu artykule „itd” podaje, że w Warszawie przeprowadzono badania, według których co drugi inżynier pracuje na stanowisku zgodnym z wyuczoną specjalnością, a od 30-40 proc. czasu pracy inżynierskiej stanowią czas użytkowany niewłaściwie — przeznaczony na wykonywanie takich czynności, które powinien wykonać technik lub sekretarka. Potwierdza to zresztą ankieta rozpisaną pośród inżynierów. Na pytanie, jakie elementy warunków pracy inżynierowie

Józef Majchrzak

SĄSIEDZI

Są to fragmenty pracy wyróżnionej w konkursie na wspomnienia kościanków z lat okupacji, ogłoszonej przez redakcję „Głosu Wielkopolskiego”, Prezydium PRN w Kościanie, PK FJN w Kościanie i Towarzystwo Miłośników Ziemi Kościańskiej przy WTK.

środkiem ulicy pomaszzerować ku niemu trzymając czapkę w rękę.

Karl Bucholz — stolarz z ulicy Poznańskiej. To ten, co mówił że głowy Polaków będą wymienianym materiałem na bruki ulic Kościana. Brat z bractwa kurkowego. Maszerował w jednym szeregu z krawcami, rzeźnikami, kupcami — później szymi ofiarami terroru.

Trzeci już wagon koksu pochłonięły ciemne piwnice Starostwa. Ciąg cholero — nikt za ciebie nie będzie harał. To niemiecki strażnik zagania nas do roboty. Rozpoczyna wykład. Powiada, że wszystko co słabe ginie. Polska — to roślinka, która wegetuje pod liściem dużego, rozłożystego krzewu. Z braku słońca zmarnieje. Oni — to ten krzew rozłożysty. My, to ta roślinka. Ale póki nie zginie musi pracować.

Pracowaliśmy razem z Grzelkowskim, stolarzem, naszym fararbeitrem. Chodziłem kierownikowi Arbeitsamtu Selke'emu na dworzec po cygara. Byłem wtedy bez grosza (feniga) przy duszy. Zgubiłem 5 fenigów. Nie byłem w stanie rozliczyć się z zakupu. Kosztowało mnie to bardzo drogo. Dieb! Złodziej! Natürlich, polnische Dieb. Telefon. Gestapo.

Mieszkałem w sąsiedztwie naszego domku gestapowca — nazwiskiem Böhm. Uradzono z Selkem zamknąć mnie do jednej z piwnic pełnej węgla na dwie noce. Bez jedzenia i picia.

I znowu ulica. Spoglądam na wóz pełen kawałków drewna. Ciągnie go mój brat z współtowarzyszem niedoli. Wprzgnięci do wozu, w pasiastych bluzach i spodniach, obuci w drewniaki, wloką się razem z wozem przez ulice miasta. Rozwożą podpałkę do mieszkań gestapowców. Tak co niedzielę, przez szereg tygodni. Spóźnili się do pracy. Gestapowiec zadecydował: sześć dni pracy w warsztacie — a niedziela w więzieniu.

Willi Zugehoer. Capnął mnie kiedyś na ulicy w Poznaniu. Cóż — dawny kolega. Znany piłkarz Klubu Sportowego „Sarmacja”. Jako wyrostek jeszcze, w rękach zbóżowca

Plewczyńskiego z ulicy Poznańskiej, nabywał w kantorku tajemnic kunsztu handlowego. A później długo laził po Lasku Miejskim jako bezrobotny. Nadszedł rok 1934. Hitler u władzy. Willi pracuje. Dobrze zarabia. W Poznaniu przy ulicy Kantaka znajdowała się siedziba jednego z niemieckich przedsiębiorstw handlowych. Tam pracował. Dojeżdżałem z nim codziennie do pracy do Poznania. Wyścigi konne na Ławicy, kobiety, dużo pieniędzy. Ubranie bez zarzutu — teczka pełna tajemniczych papierów. Willi żył jak pączek w maśle. Teraz stoi przede mną w gali munduru SS i uśmiecha się pełną gębą.

— Pepi — (tak mnie przezwano w klubie) ty i ten twój Zenek (Zenon Kaczmarek, technik budowlany pracujący w DOKP — Poznań) to głupie Polaczki. Żebyście wiedzieli kim ja byłem, to szlag by was trafił. Lubiłem ciebie. Innemu bym mordę rozwalili.

Pan Czarnowski. Przybył do Kościana dwa lata przed wojną. Wielki, prawy Polak. Jego brata zatrzaśła bomba niemiecka, kiedy ciągnął kupą — internowany w pierwsze dni września przez polskie władze. Drugi, młodszy wrócił i teraz lazi po ulicach miasta. Już nie jak kiedyś z wiaderkiem po zupe i ochłapy dla swych psów. To byli piekielnie spokojni, a zarazem trudni do rozsfrowania ludzie.

Dwaj bracia — geodeci z zawodu, z nieodłącznymi psami myśliwskimi i strzelbami na ramionach, waleśali się wiecznie po okolicznych polach i lasach. Bawili się w myśliwych, Willi Zugehoer był ich częstym gościem. Młodszy — gdy wrócił z przymusowej wycieczki — pokazał rogi. Niewymowna była wiara i zaufanie ze strony obywatelstwa polskiego do tych psiarów i im podobnych.

Böhm. Stolarz — mający piękny na owe czasy piętrowy dom przy mostku vis a vis Kamińskich. Kto mieszkał w jego sąsiedztwie i narażał się mu w czasie okupacji, może napisać epopeję. Główna sprężyna nieomal wszystkich poczynań Niemców w październiku 1939 r. Nie zatkłki go we wrześniu niemieckie bomby w marszu na wschód. Wrócił by wyrzucić swą zemstę na pozostałych w mieście Polakach. Pamiętne pozostaną chwile, kiedy każe zebrać „winowajców” jego pielgrzymki. Ustawia ich w szeregu i palcem wskazującym kieruje wielu do więzień na stracenie. To jeden z tych, którzy razem z Heinzem Mrukiem, Heinzem Bucholzem, Liżą Bucholz — Starkiem i innymi im podobnymi, stanowili razem z miejscowym gestapo komplet, który posyłał ludzi do więzień i na śmierć.

Obrazków takich wziętych z ówczesnych dni jeszcze wiele. Można

by było nimi zapełnić wielkie płachty papieru. Długie były dni i noce okupacji. Ci wszyscy opisani wyżej, których oczy moje spotykały w dni okupacji na ulicach miasta, zadali tyle cierpień, byli współodpowiedzialni za tyle krwi przelanej, żyli razem z nami, pracowali w okresie międzywojennym przez tyle lat. Zdawało się nam — a dla wielu było to pewnością — że społeczność niemiecka żyła się z miejscową ludnością polską i że związana ekonomicznie z resztą obywateli zrozumiała, że ziemia, na której żyjemy i pracujemy jest wspólną i jedyną dla nas wszystkich.

W początkach pierwszego kwartału 1939 r. dało się zauważyć w Kościanie większy popyt na radioaparaty. To Niemcy zaopatrywali się w te pudełka. Mogą coś o tym powiedzieć ci co ładowali potrzebne akumulatory. Na kupno aparatu radiowego nie mógł sobie pozwolić w tym okresie zwykły mieszkaniec miasta. Trzeba było wybuścić 200-300 złotych. Willi i Heinz — chwalili marszałka, a w teczkach przewoziili bibułę. Nie wiem kiedy pasowaliśmy na SS-manów, ale że byli nimi już przed wojną, to pewnie. Zgromadzenia w Lasku Miejskim i w lasach racowskich to sprawa znana każdemu kościankowi.

Młodeż niemiecka w parę dni przed 1 września zniknęła z miasta. Powrócili w pierwszych dniach wojny — jedni jako esesmani, drudzy w żółtych mundurach.

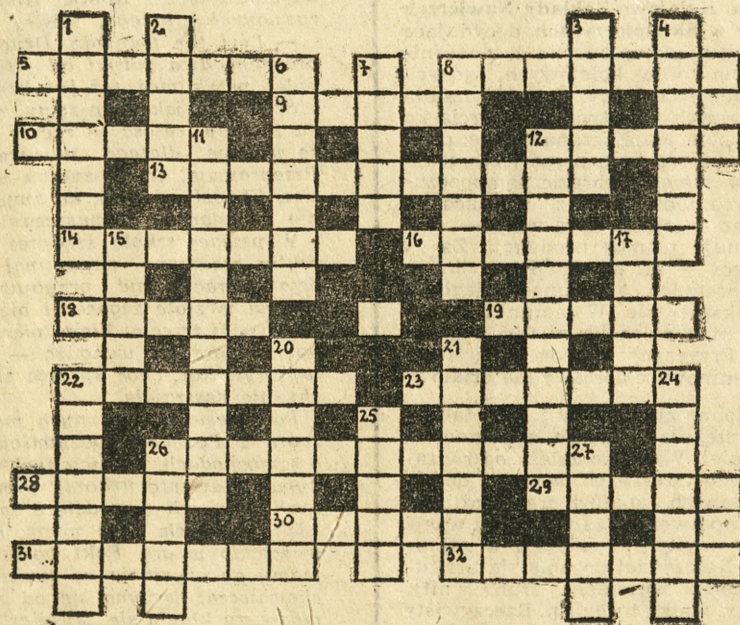
Ciekawe, że równoległe z sunącymi przez ulicę miasta motocyklami Wehrmachtu — wynurzały się z okien niemieckich domów czerwone płachty z czarnymi hakenkreuzami. Przygotowywały je z pewnością gutte Mutti daleko, daleko wcześniej.

KRZYŻÓWKA NR 5

POZIOMO: 5. cukier gronowy, 8. jesienna pogoda, 9. przedmiot, 10. wysokie odznaczenie, 12. zmiana kierunku, 13. miejscowość wypoczynkowa pod Poznaniem, 14. zastępuje człowieka, 16. oddział chorób wewnętrznych w szpitalu, 18. rycerskie słowo honoru, 19. odzież, 22. prośba, wniosek, 23. cienka folia cynowa, 26. rozrabiacz, 28. duże białe kwiaty, 29. dawniej należał do czaładzi wojskowej, 30. w środku miasta, 31. część boiska sportowego, 32. skład broni.

PIONOWO: 1. kolos, 2. miejsce sprzedaży towarów, 3. oklaski i okrzyki po występie, 4. sylaba, 6. stan w USA, 7. część węgierskiej stolicy, 8. dokuczanie komuś, 11. wó kółt budowanego domu, 12. zoo, 15. postępowy pisarz brazylijski, 17. wa ga bez opakowania, 20. silny wiatr, 21. ochronna warstwa, obwódka, 22. porażenie, 24. nagrodzony, 25. rodzaj baru, 26. część zamku, 27. prowadzi wysięg.

Pomiędzy Czytelników, którzy do dnia 16 bm. nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy 3 bony książkowe po 50 zł. Przy adresie prosimy dopisać: Krzyżówka nr 5.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 4

POZIOMO: eksterminacja, krzew, szosa, Irma, tiara, mapa, libacja, egipta, crawl, groszek, gach, bieda, knot, album, korty, trygonometria. PIONOWO: ser, efekt, nazwa, cis, radiotelegram, filatelista, komunikacja, apartamenty, naparstek, plaga, macki, biuro, atole, lwy, tur.

Bony książkowe po 50 zł wylosowali:

Roman Namysł, Poznań, ul. Kochańskiego 6 m. 5.
2. Jan Piechacz, Poznań, ul. Obornicka 149 m. 7.
3. Władysław Firlik, Poznań, ul. Dzierżyńskiego 104 m. 5a.

Nagrody wysyłamy pocztą.

LEKTOR